

CONAN DOYLE.

PÓŹNA ZEMSTA

na język polski przełożył W. L.

ZE WSPOMNIENIEN WATSONA

ROZDZIAŁ I.

Sherlock Holmes.

W roku 1878 złożyłem egzamin lekarski na uniwersytecie londyńskim i przebyłem w Nelley przepisany kurs dla wojskowych lekarzy. Niedługo potem przydzielono mnie do mathumberlandzkiego oddziału fasilierów w Indyach. Zanim przybyłem jednak na miejsce przeznaczenia, wybuchła właśnie druga wojna afgańska i wkrótce po wylądowaniu moim w Bombaju dowiedziałem się, że oddział mój, przeszedłszy górskie wąwozy, wdarł się już dobrze w kraj nieprzyjacielski. W towarzystwie wielu oficerów znajdujących się w podobnym położeniu, szedłem śladem mego korpusu, dogoniłem go szczęśliwie w Kandahar i objąłem moją nową posadę.

Wyprawa, w której wielu moim kolegom część i liczne odznaki w udziale przypadły, przyniosła mi tylko nieszczęście i wiele zawodów. Zaraz w pierwszej bitwie strzaskala mi kula łopatkę, i byłbym wpadł niezawodnie w ręce rozbójniczej bandy, gdyby nie Murray, mój wierny towarzysz, który z narażeniem własnego życia, porwawszy mnie z sobą na konia, uniósł poza angielską linię bojową.

Długo leżałem chory i podniosłem się z łóża boleści dopiero wtedy, gdy przewieziono mnie z całym szeregiem rannych oficerów do wojskowego szpitala w Peshawur. Przyszedłem do siebie o tyle, że mogłem przechadzać się po sali i oddychać świeższym powietrzem na werandzie szpitalnej. Nagle wpadłem znowu w tak gwałtowną febrę, że miesiącami całymi wątpiono o mojem ocaleniu. Skoro choroba przesiliła się wreszcie i powróciła przytomność, znajdowałem się w stanie takiego osłabienia i upadku sił, że lekarze postanowili odebrać mnie bezzwłocznie do Anglii. W miesiąc później wylądowałem okrętem wojskowym w Portsmouth. Zdrowie moje stargałem zupełnie na wojnie, zezwolił mi zatem rząd opiekuńczy na dziewięciomiesięczny urlop, w ciągu którego spodziewałem się przyjść troszkę do siebie.

Krewnych w Anglii nie miałem, postanowiłem więc zamieszkać w jakimś prywatnym hotelu. Na utrzymanie miałem pół szylinga dziennie, lecz że nie umiałem odmawiać sobie, zaczęły mi moje finanse wkrótce troszkę przysparzać. Poznałem, że albo pozostaje osiąść mi gdzieś na wsi, albo też zmienić dotychczasowy tryb życia. Wolałem ostatnie, wkrótce też musiałem opuścić mój hotel a oglądać się za jakimś mniej ładnym lecz tańszym mieszkaniem.

Właśnie kiedy byłem zajęty wyszukiwaniem odpowiedniego pokoiku, spotkałem się najniespodziewaniej z dobrze znajomą mi twarzą, co dla mnie, nie mającego w dużym mieście nikogo znajomego, było nadzwyczaj przyjemną niespodzianką. W czasie mych studiów uniwersyteckich obcowalem z niejakim Stamfordem, i chociaż nie było między nami wielkiej zażyłości, pozdrowił mnie z prawdziwą serdecznością. Wkrótce siedzieliśmy w pobliskiej restauracji przy szklance wyborowego wina, opowiadając sobie nawzajem swoje przygody.

— „Cóż się to z tobą stało Watsonie!? — zapytał zdziwiony Stamford — niemożliwieś opalony, przytem skóra i kości tylko!“

Opowiedziałem mu krótko moją Odyseję, a on słuchał mnie z wielkiem przejęciem.

— Biedny chłopcze! — powiedział z współczuciem — a coż teraz zamýślasz robić?

— Szukam mieszkania — odpowiedziałem — chciałbym wynaleźć sobie wygodne a tanie mieszkanie.

— Ciekawe — zakrzyknął Stamford — jesteś dzisiaj drugim z rzędu, który mi to powiada.

— Któż szuka jeszcze?

Jeden z moich znajomych, który pracuje w laboratorium chemicznym w szpitalu. Skarżył się dzisiaj, że znalazł sobie wspaniałe i nadzwyczaj wygodne mieszkanie, które jednak dla niego samego za drogie podobno.

— Na Boga — powiadam — jeżeli zamierza ponosić połowę kosztów, będę jego współlokatorem. Daleko przyjemniej mieszkać we dwójkę, niż tak samotnie, jak dotąd.

Stamford patrzył ciekawie przez szklanki.

— Kto wie, czybyś przyjął na współlokatora Sherlocka Holmesa, gdybyś go znał — powiada tajemniczo.

— Cóż ci się nie podoba u niego?

— Tego nie powiem! Pod pewnym względem ma tylko ciekawe poglądy i kocha wiedzę. Przytem bardzo uczciwy, o ile wiem.

— Czy doktor?

— Nie! — nie mam pojęcia, czem się właściwie zajmuje. Anatomię zna znakomicie, jest także wybornym chemikiem. Lecz o ile mi się zdaje, medycyny nie studiował. W swoich studiach jest za gorączkowy, może za mało regularnie pracuje, na rozmaitych polach posiada jednak tyle wiadomości, że mógłby mu ich zazdrościć niejeden profesor.

— Pytałeś go o zajęcie?

— Nie! nie należy do kategorii ludzi, którzy pozwalają się badać; czasami jednak lubi pogadać, jeśli ma ku temu ochotę.

— Chciałbym go poznać — powiedziałem — człowiek, który z zamiłowaniem oddaje się studiom, jest dla mnie mile widzianym towarzyszem. Przy moim obecnym stanie zdrowia nie mogę znieść żadnych hałasów. Miałem ich tyle w Afganistanie, że wystarczą mi pewnie na całe życie. Proszę cię — gdzie mogę go zastać!

— Teraz będzie w laboratorium. Czasami nie widać go po całych tygodniach, czasami znowu pracuje od rana do nocy. Jeśli życzysz sobie, poszukamy go razem.

Przystaliśmy z chęcią i natychmiast zwróciliśmy się w stronę szpitala.

— Nie przyjmę jednak od ciebie żadnych wymówek, jeśli nie pogodzicie się z sobą — powiedział Stamford, — gdyśmy wsiadali do dorożki — nie mogę ani odradzać ani namawiać ku temu.

— Jeśli nie będziemy dla siebie stworzeni, nic łatwiejszego, jak rozejść się znowu. Ostrożność twoja zdaje mi się przesadzona nieco, coś w tem być musi. Powiedzno! Co masz przeciwko Holmesowi?

— Nic! zgola nic! zdaniem mojem za bardzo oddany studiom. Graniczy to już z brakiem czucia. Uważam to za niemożliwą i niesłychaną rzecz, żeby dać swemu najlepszemu przyjacielowi dozę najstraszliwszej trucizny, alkaloidu, — nie ze złości — jedynie dla zbadania skutków alkaloidu. Równie ładnie zrobiłby próbę na sobie, to trzeba mu przyznać! Jasność i dokładność wiedzy jest jego namiętnością, ale w jakim celu, i co właśnie studjuje, licha wie tylko.

Przed szpitalem wysiedliśmy z dorożki i przeszliśmy wąską uliczkę, znaleźliśmy się w bocznym skrzydle bardzo rozgałęzionego budynku. Wszystko znałem tutaj dokładnie, nie potrzebowałem już żadnego przewodnika. Szliśmy pustymi schodami, poprzez długi, na białło malowany korytarz, z drzwiami po obu stronach, do których przytkały niższe boczne schody, prowadzące do chemicznego laboratorium. W wielkiej sali, do której weszliśmy właśnie, zastawione były wszystkie stoły najrozmaitszymi retortami, flaszeczkami i lampkami spirytusowymi, podczas gdy naokoło na ścianach, gdzie okiem rzucić, same flaszeczki najrozmaitszej wielkości i kształtów. Myśleliśmy z początku, że w sali nie ma żywego ducha, później dopiero spostrzegliśmy młodego mężczyznę, który zatopiony w swych eksperymentach, siedział zajęty nad stołem. Na odgłos naszych kroków oderwał się od doświadczenia i podskoczył w górę z radosnym okrzykiem.

— Zwycięstwo! Zwycięstwo! — wołał i szedł ku nam z jakąś retortą w ręku. — Znalazłem ciało chemiczne, które łączy się z ciałkami krwi na pewien osad. Zresztą z żadnym innym związkiem!

Wyglądał tak uradowany, jakgdyby odkrył co najmniej minę złota.

— Mój przyjaciel, doktor Watson — pan Sherlock Holmes — przedstawił nas Stamford nawzajem.

— Bardzo się cieszę, że pana poznaję — mówił Holmes w tonie serdecznym, ściskając mi przytem rękę uprzejmie — pan wprost z Afganistanu, jak widzę.

Spojrzałem zdziwiony na niego.

— Skąd wiesz pan o tem?

— O! to nic niema do rzeczy — zawołał, zacierając ręce z radości — teraz myślę tylko o mej hemoglobinie. Z pewnością pojmuje pan doniosłość mego wynalazku!

— Jako eksperyment chemiczny pewnie rzecz interesująca, czy w praktyce jednak...

— Właśnie w praktyce, w chemii sądowej ma

kolosalne znaczenie, służy bowiem do wykazania plam krwi. Proszę niech się pan przybliży!

W gorączce pochwycił mnie za ramię i pociągnął z lekka do stołu, przy którym pracował.

— Musimy mieć troszkę świeżej krwi — powiada, przyczem ukłuł się w palec wielką igłą, zbierając spadające krople do jednej z rurek. — Teraz mieszam to wszystko z litrem wody, stosunek mniej więcej jeden do miliona, płyn wygląda zupełnie jak czysta woda. Mimo to upragniona reakcja, zdaje się, pojawi się wkrótce. Mówiąc to, wrzucił do próbówki parę drobnych, białych kryształów, przyczem dodał parę kropli jakiegoś przezroczystego płynu. Woda nabrała natychmiast ciemnego zabarwienia, a na spodzie naczynia pokazał się wkrótce tajemniczy, brunatny osad.

— Patrz pan — zawołał, klaszcząc w dłonie jak dziecko, uradowane nową zabawką.

— I coż pan na to?

— Zdaje się, że eksperyment udał się panu w zupełności.

— Cudownie! Cudownie! Dawna próba z Guajacmu okazała się wielokrotnie niepewną i kłopotliwą, mikroskopijne badanie kuleczek krwi nie daje najmniejszej pewności, gdy plamy bada się w parę godzin dopiero. Moja metoda da się zastosować zarówno przy skrzepłej jak i świeżej krwi. Gdybym był wcześniej odkrycia dokonał, możnaby pociągnąć do odpowiedzialności setki złoczyńców, którzy z braku dowodów umknęli bezkarnie.

— Czy pan mówi na seryo?

— Bez kwestyi! W kryminalistyce sądowej wszystko obraca się dokoła tego punktu. Nieraz w parę miesięcy po spełnieniu morderstwa pada podejrzenie na kogoś, badają jego ubranie i znajdują krwawe plamy. Mogą to być plamy pochodzące od krwi, mogą być jednak najwyklesze sobie plamy od owoców lub brudu. Niejeden znawca nałamał sobie głowy i to tylko dlatego, że brakowało niezbitych dowodów. Skoro mają jednak środek Hollmessa Sherlocka, wszelkie trudności usunięte.

Oczy błyszczały mu niezwykłym ogniem, rękę położył na sercu i kłaniał się tajemniczo uroczystym dygiem, jak gdyby w duchu widział się przed tłumem ludzi, bijących mu szalone brawo.

— Można panu powinszować — powiedziałem, zdziwiony jego słowy.

— Gdyby poczyniono próbę przeszłego roku — mówił zapalony — z pewnością kosztowałoby to drogo masona z Braadford, dowiedzionoby także oskarżonemu Müllerowi, jak też Lefeorowi z Montpellier i Samsonowi z Nowego Orleanu ich winy. Mogę dać panu tysiące przykładów, w których metoda moja okazałaby się niezrównaną.

— Jesteś pan chodzącym kalendarzem złoczyńców — zaśmiał się Stamford — wydaj pan dzieło, dotyczące kryminalnej statystyki.

— Pewnie wartoby je przeczytać — odpowiedział Holmes, który naklejał właśnie plaster na zraniony palec.

— Muszę bardzo uważać — dodał, objaśniając nam dalej, gdyż mam dużo do czynienia z truciznami.

Gdy podniósł rękę do góry, spostrzegłem, że w wielu miejscach miał ranki, zabarwione najrozmaitszymi kwasami.

— Przychodzimy z interesem — powiedział Stamford, podsuwając mi trójnożek, i zajmując równocześnie miejsce.

— Przyjaciel mój szuka mieszkania, a ponieważ pan chciałeś także z kimś drugim zamieszkać, spodziewam się, że jestem pomocnym wam w tem utrapieniu.

Sherlock Holmes przystał z ochotą na propozycję.

— Spodobało mi się ogromnie pewno mieszkanie na Baker Street, zdaje się, że będzie nam bardzo wygodnie. Pan nie czuje odrazy do papierosów?

— Przeciwnie! Jestem namiętnym palaczem!

— Znakomicie się składa. Następnie mam bardzo często rozmaite kwasy u siebie, których potrzebuję do eksperymentów. Czy to panu nie przeszkadza?

— Bynajmniej!

— Poczekał pan! Jakież błęd mam jeszcze? Aha! Czasami dostaję napadów melancholii, i dzień cały wówczas ust mych nie otworzę. Niech mi pan tego nie bierze za złe! Niech się pan wtedy zupełnie o mnie nie troszczy a napad przejdzie niebawem niespostrzeżenie. Tak! no, teraz kolej na pana! Gdy dwóch ludzi zamierza razem mieszkać, najlepiej będzie, gdy będą wiedzieli, czego się mają spodziewać po sobie!

Musiałem śmiać się z tej genialnej spowiedzi.